

# Urodził się na Kurpiach a zna go cała Japonia



## PIERWSZĄ KLASĄ DO NIEBA

Brat Zeno żyje od pół wieku w Japonii, gdzie z uporem czyni dobrze. Jego zlachany, splamiony habit zakonny i biała broda stały się istotnym akcentem pejzażu ubogich dzielnic Tokio.

Wszyscy znają te niebieskie, wesołe oczy dziecka, tę twarz o nieustającej potrzebie uśmiechu. Dużo się wie o jego akcji opieki nad dziećmi, o dokamieniu głodnych, o ofiarnej pomocy nieszczęśliwym. Sylwetkę spopularyzowała prasa i telewizja. Uniwersytety tokijskie wydały broszurę o społecznej działalności zakonnika. Ukazały się poświęcone mu książki i płyty.

Ma pełną pierś japońskich orderów. Należy do najbardziej uhonorowanych cudzoziemców na wyspach. Z rąk członka rodziny cesarskiej otrzymał m. in. Order Świętego Skarbu IV stopnia, bardzo rzadko przyznawany obcokrajowcom.

Przed siedmiu laty notowałem:

„Rozważam, w jaki sposób godzi się pisać o bracie Zeno, polskim franciszkaninie spod Tokio. Z głębokim szacunkiem? Z dumą? Zartobliwie? Ze zdziwieniem?”

I pisałem — z szacunkiem, zartobliwie i ze zdziwieniem. W tej właśnie tonacji prowa-

dziiliśmy potem z Badowskim program telewizyjnego Klubu Sześciu Kontynentów, w którym Zeno — przebywający z wizytą w Polsce — osobiście wystąpił, budząc w całym kraju ogromne zainteresowanie.

Nie ma w nim nic z dostojności, namaszczenia, recepturalnej świętości. Jest człowiekiem skromnym, prostym, bezpośrednim, radosnym, pełnym temperamentu — jest cały zwrócony ku światu.

Każdemu z nas zdarza się — rzadko, raz lub dwa razy w życiu — że spotyka autentycznego świętego Franciszka. Człowieka czyniącego dobrze z potrzeby ducha, poświęcającego czas, zdrowie, a nawet — kiedy trzeba — życie dla innych. Nie zawsze jest to osoba duchowna, związana z konkretną konfesją. Bo przecież „każdy oddaje serce tej religii, która mu obiecuje pełnię człowieczeństwa. Wszyscy różnymi, zaprzeczającymi sobie słowami wyrażamy tę samą porywy. Dzieli nas metody, owoce naszych rozmów, ale nie cele: cele są jednakowe (...)” (ANTOINE DE SAINT-EXUPÉRY: „Ziemia, planeta ludzi”).

Był brat Zeno towarzyszem pracy i życia ojca Maksymiliana Kolbe, należał do pierwszej

ekipy założonego przez późniejszego bohatera z Oświęcimia klasztoru w Nagasaki. Tam w roku 1945 przeżył eksplozję bomby atomowej. Później przeniesiono go do klasztoru w Higashi Murayama pod Tokio, skąd docierał systematycznie do slumsów peryferyjnych dzielnic stolicy, które stały się jego drugim domem. Zdobył sobie szacunek powszechny i miłość w kraju, w którym katolicyzm z trudem wielkim toruje sobie drogę, a jego wskazania budzą często sprzeciw.

Spotkałem go teraz ponownie pod Tokio. Mieszka w małym konwikcie, skąd nadal raz w tygodniu — zwykle pod opieką japońskiego bratka — rusza w tokijską strefę snutku.

Ma teraz około dziewięćdziesięciu lat. Nikt zresztą nie zna dokładnie jego wieku, bo — chociaż w paszporcie widnieje data urodzenia „1889” — sam Zeno stwierdza, że „taki młody to ja nie jestem” i skłonny jest przyznać się do jakichś czterech lat więcej. Podobno wszystkie księgi parafialne spaliły się w czasie pierwszej wojny światowej (urodził się we wsi Surowe koło Myszyńca).

Przed wielu laty wydano o nim w Japonii książkę pod tytułem „Brat Zeno nie ma czasu

umrzeć”. Postawiono mu kilka pomników. Mówi do mnie:

— A mnie nie spieszy do umierania. Dopóki mogę chodzić i zaglądać do moich ludzi w Tokio, o śmierci nie warto myśleć. Tylko oni — (Zeno wskazuje oskarżająco palcem na japońskiego zakonnika, brata Karola Sakamoto i polskiego konfratry, Romana Kwietnia) — robią ze mnie niedołęgę, łażą krok w krok, pilnują.

Brat Karol odzywa się niespodziewanie po polsku:

— Drogi bracie, stary gnacie... i klepie poufnie Zenona po ramieniu. Po czym odbywa się krótka wymiana zdań po japońsku.

Od tej chwili nastrój staje się zdecydowanie swobodny. Taka atmosfera zresztą zawsze najbardziej Zenonowi odpowiada. Przypomina mi się rozmowa, której niegdys byłem świadkiem w Higashi Murayama. Miała miejsce między bratem Zenonem a ojcem Samuelem, innym wiele zasłużonym polskim franciszkaninem:

SAMUEL: — Ile brat ma chociażwie lat?

ZENO: — Tak naprawdę to nie wiadomo, bo księgi poszły z dymem.

SAMUEL: — Przez kilka kolejnych lat, pamiętam, brat podawał ten sam wiek.

ZENO: — Bo kto to dokładnie policzy...

SAMUEL: — Jak jedziemy razem z Zenonem koleją, to on pierwszą, a ja drugą klasę. — (Za zasług dla kraju brat Zeno otrzymał od władz japońskich bezpłatny bilet pierwszej klasy na wszystkie koleje).

ZENO: — Niech ojciec robi to co ja, to także dadzą bilet.

Samuel z wyraźną melancholią:

— Zeno to nawet do nieba pierwszą klasą pojedzie...

Przez całe dziesięciolecie krążył po najgorszych dziurach wielkiego miasta. Nosił paczki z żywnością i odzieżą, opatrywał rany, mył i strzygł biedaków.

Powiada teraz brat Roman:

— Zeno często wracał zawieszony. Oj, mieliśmy z nim zmartwień, musieliśmy go ciągle iskać i kapać.

Wyrwa się i teraz do swoich podopiecznych. Kiedyś zemdlał na ulicy. Od tej chwili nie puszczają go już samego. Są jeszcze tacy — zapewnia — co go potrzebują. Ale też ze smutkiem prawie przyznaje, że poziom życia w Japonii podniósł się znacznie i coraz mniej jest biedaków.

Trzyma się jeszcze krępkę, ale przecież życie się w nim dopala. Jak teraz, z perspektywy prawie stulecia, ocenia swoją ziemską drogę?

— Może szkoda, że to nie w Polsce mogłem coś robić. No, ale wysłali tutaj, to przyjechałem. Tu też są ludzie.

Czy odpowiadał mu zawsze ten typ pracy społecznikowskiej? Czy nie miał innych marzeń?

— Zawsze marzyło mu się większe poświęcenie. Przecież

umrzeć". Postawiono mu kilka pomników. Mówi do mnie:

— A mnie nie spieszy do umierania. Dopóki mogę chodzić i zglądać do moich ludzi w Tokio, o śmierci nie warto myśleć. Tylko oni — (Zeno wskazuje oskarżając palcem na japońskiego zakonnika, brata Karola Sakamoto i polskiego konfratra, Romana Kwietnia) — robią ze mnie niedołęę, łażą krok w krok, pilnują.

Brat Karol odzywa się niespodziewanie po polsku:

— Drogi bracie, stary gnacie... i klepie poufnie Zenona po ramieniu. Po czym odbywa się krótka wymiana zdań po japońsku.

Od tej chwili nastroj staje się zdecydowanie swobodny. Taka atmosfera zresztą zawsze najbardziej Zenonowi odpowiada. Przypomina mi się rozmowa, której niegdyś byłem świadkiem w Higashi Murayama. Miała miejsce między bratem Zenonem a ojcem Samuelem. Innym wielce zasłużonym polskim franciszkaninem:

SAMUEL: — *He brat, ma płacić wie lat?*

ZENO: — *Tak naprawdę to nie wiadomo, bo księgi poszły z dymem.*

SAMUEL: — *Przez kilka kolejnych lat, pamiętam, brat podawał ten sam wiek.*

ZENO: — *Bo kto to dokładnie policzy...*

SAMUEL: — *Jak jedziemy razem z Zenonem koleją, to on pierwszą, a ja drugą klasę. — (Za zastęgi dla kraju brat Zeno otrzymał od władz japońskich bezpłatny bilet pierwszej klasy na wszystkie koleje).*

ZENO: — *Niech ojciec robi to co ja, to także dadzą bilet.*

Samuel z wyraźną melancholią:

— *Zeno to nawet do nieba pierwszą klasą pojedzie...*

Przez całe dziesięciolecie krążył po najgorszych dzielnicach wielkiego miasta. Nosił paczki z żywnością i odzież, opatrywał rany, mył i strzygł biedaków.

Powiada teraz brat Roman:

— Zeno często wracał z rąkami zmartwych, musieliśmy go ciągle iskać i kapać.

Wyrwa się i teraz do swoich podopiecznych. Kiedyś zemdlał na ulicy. Od tej chwili nie puszcza go już samego. Są jeszcze tacy — zapewnia — co go potrzebują. Ale też ze smutkiem prawie przyznaje, że poziom życia w Japonii podniósł się znacznie i coraz mniej jest biedaków.

Trzyma się jeszcze krępeko, ale przecież życie się w nim dopala. Jak teraz, z perspektywy prawie stulecia, ocenia swoją ziemską drogę?

— Może szkoda, że to nie w Polsce mogłem coś robić. No, ale wysłał tutaj, przyjechałem. Tu też są ludzie.

Czy odpowiadał mu zawsze ten typ pracy społecznikowskiej? Czy nie miał innych marzeń?

— Zawsze marzyło mu się większe poświęcenie. Przecież

ojciec Kolbe pytał: „Kto chce być męczennikiem?”. Raz mi się prawie udało. Zaraz po wojnie chciałem iść za jednego skazanego na karę śmierci. To był kapitan łodzi podwodnej, podobno wielki zbrodniarz. Miał dużą rodzinę, dzieci, a ja byłem sam. Przełożony zakonu nie zgodził się. Powiedział: „Jak nie ma kari, to nie ma miary”.

Przewracamy karty albumu, do którego Zeno powlepił fotografie. Księga żywota człowieka poczciwego. Polski „Święty Mikołaj” występuje na zmianę w otoczeniu nędzarzy i osób wytwornie ubranych, pojawia się wśród strasznych drewniaków nad rzeką Sumidą i pośród eleganckich willi.

To ojciec Samuel powiedział kiedyś:

— Jak Zeno na sądzie ostatecznym się stawi, to nie będzie musiał ust otwierać, tylko album pokaże...

Są zdjęcia ze zniszczonego Nagasaki. Jedynym zmartwieciem zakonnika było tam wtedy mleko dla dzieci (zapytany o wrażenia z eksplozji bomby atomowej, wspominał tylko o lęku, który go przenikał, czy aby krowy nie straciły mleka...). Jest fotografia opatrywania ran ofiary bombardowania. A zaraz na następnej stronie człowiek z białą, rozwianą brodą biegnie już wesoło w tłumie dzieciarni. I wreszcie: ta fotografia z papierem Pawłem VI — stary franciszkanin stoi twarzą w twarz z najwyższym zwierzchnikiem katolickiego Kościoła, pokornie uśmiecha się, na jego lewej piersi widnieje tarcza o barwach biało-czerwonych z napisem „Polska”...

Życie spędził na Dalekim Wschodzie, mówi po japońsku chyba bez kurpiowskiego akcentu, twierdzi, że nawet oczy mu się z latami w skos ułożyły. A przecież tak jest polski, jakby się nigdy zjadł swojej rozogi nie ruszał. W Japonii nazywają go powszechnie Zenu Shimpu Porando Dżin. Obnosi swoją polskość ostentacyjnie. W każdej rozmowie z dziennikarzami — a tych nie brakuje nigdy — podkreśla z dumą swoją narodowość.

Przyjaźni się z mnichami buddyjskimi, z tajemniczymi Ajnami z Hokkaido, którzy mu ślą amulety i lekarstwa, z członkami kasty upośledzonych (burakumin), a także z ministrami i milionerami.

— Jednym zabieram, drugim oddaję. Jestem, panie, jak nasz karpaci Janosik.

Kiedy było trzeba, a trzeba było zawsze, potrafił pieniądze spod ziemi wytrzasnąć. Ma przyjaciół japońskich, którzy by za jego białą brodą przez Morze Martwe — tylko nie wiadomo, czy suchą nogą — przeszli.

Ciągle mu gdzieś chcą pomniki stawiać. Jeden jest już koło Osaki, drugi wznosi się w pobliżu Fudzi. Ostatnio do kolekcji doszła Hiroshima. Zeno śmieje się, chyba uważa, to tro-

chę za żart, a trochę za zabawę. Ma przecież usposobienie dziecka:

— Aj, panie, jak to drogo kosztowało, aj!

— Jak wygląda ten pomnik?

— Nie w nim ciekawego. Tylko ja i jakieś dzieciaki.

— Kto za to zapłacił?

— Bogacze. Jeden właściciel stoczni w Hiroshimie dał dwa tysiące tsubo, to pewnie będzie ze trzy tysiące metrów kwadratowych ziemi.

— Chrześcijanin?

— Gdzie tam, pogan!

— Czy brat ma białą brodę na pomniku?

— Bez brody to nie byłbym ja. Ale broda jest brązowa, a nie siwa.

— Podobno brat miał kiedyś rudą? — wtrąca Roman Kwietniec.

— Eh, tam, zawsze była siwa!

Niedawno od zamożnego fabrykanta otrzymał złoty zegarek. Przekazał go do muzeum w Oświecimiu, bo przecież „to jakby dostał ojciec Kolbe”.

Przy obiedzie, przygotowanym przez brata Karola Sakamoto, popijamy słabe wino japońskie, sake („to taki samogon, panie”) i wysypuje się cały worek anegdot.

Kiedyś na przyjęciu w pewnej szkole dla arystokracji Zeno zapytał niskiego czarnego mężczyzny: „Stuchaj no, kto ty jesteś?”. To był następca tronu.

Jest jedynym Europejczykiem, którego przyjęto do japońskiego Związku Brodaczy. Co roku jeździ na zwyczajowe spotkania. Dawno już przekonał się, że broda wzbudza wśród ludzi w Japonii zaufanie.

Ktoś z obecnych pyta, gdzie Zeno chciałby spocząć po śmierci. W ogóle wygląda na to, że obsesją umierania brata Zenona opanowali są wszyscy, z wyjątkiem starego zakonnika.

— Skromnie, byle gdzie...

Ojciec Donat Gościński; z którym rozmawiałem tydzień wcześniej w klasztorze franciszkanów w Nagasaki, powiedział mi co innego:

— Zeno chciałby mieć uroczysty pogrzeb, najlepiej z możliwością własnego żywego w nim uczestnictwa, i spocząć w grobie w centrum ruchliwej tokijskiej Ginzy. Tam jest dużo ludzi, by-

łoby zbiegowisko, telewizja, fotoreporterzy.

Ojciec Donat dodał jednak od razu, że Zeno nie pragnie tego wszystkiego z próżności. Po prostu kocha ruch i życie, w tłumie czuje się jak ryba w wodzie. Nie ma w nim nic z potrzeby kontemplacji.

Docenia też znaczenie publicity, nieraz pomogła mu ona w zdobyciu pieniędzy dla biedaków.

Zeno nie posiada dostojnego nie poza zniszczoną sutanną i rozdeptanymi butami — mówił dalej ojciec Donat. — Powiem panu otwarcie: nasz zakon od początku istnienia miał może trzech takich zakonników. On jest całkiem zwyczajnie i po prostu — święłym. Zrozumiałby pan to widząc, z jaką cudowną miłością przytulał do siebie cuchnących żebraków na stacji w Ueno.

Takiej sceny nie widziałem. Ale pamiętam jego spotkanie z dziećmi na ulicy — ciżba chłopców i dziewcząt cisnęła się do „Zenu Shimpu”, jakby przyciągnęła magiczną siłą. Zakonnik gaskał po główkach, poklepywał po buziach, o coś pytał, na coś odpowiadał, a wszystko pełne było śmiechu i radości; potem na sekundę zaledwie spoważniał, składając ręce w modlitwie.

Pijemy jeszcze po szklaneczce sake, moi czcigodni gospodarze przekomarżają się między sobą:

ZENO: — *Podobno wymyślił teraz sztuczne serce. Jak się zastabnie, to takie serce kopnie i zaraz idzie się dalej...*

ROMAN: — *Po co te kosztowne aparaty? Ja brata zawsze chętnie kopnę...*

Władysław Zenon Zebrowski spod Myszyńca, którego życie przemieniło w Zeno Shimpu Porando Dżina, wznosi toast za Polskę i przekazuje uroczyste:

— Panie Budrewicz, pozdrów pan wszystkich mających na Kurpiach, na Pradze i w telewizji. Tesknicie do nich i kiedyś na pewno przyjadą.

Coś odpowiadam, mówię bo-  
daj, że obojętne jaką klasą do ojczyzny zajadzie, zawsze go razem przyjmieni.

OLGIERD BUDREWICZ  
„Perspektywy” Nr 48

